

PŁOMYCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI.



GOŚĆ Z LASU.

Pamiętnik Stachurki.

Ja mam 6 lat i 8 miesięcy, i 17 dni.

Inne dzieci w ochronce nie umieją pisać, a ja umiem. Mamusia mnie oddała na lato do babci i babcia nauczyła mnie czytać i pisać.

Teraz umiem każde słowo napisać, nawet: „chrząszcz“, i „szczur“, i „gwizdź“, i takie różne, co mają „sz“ i „cz“.

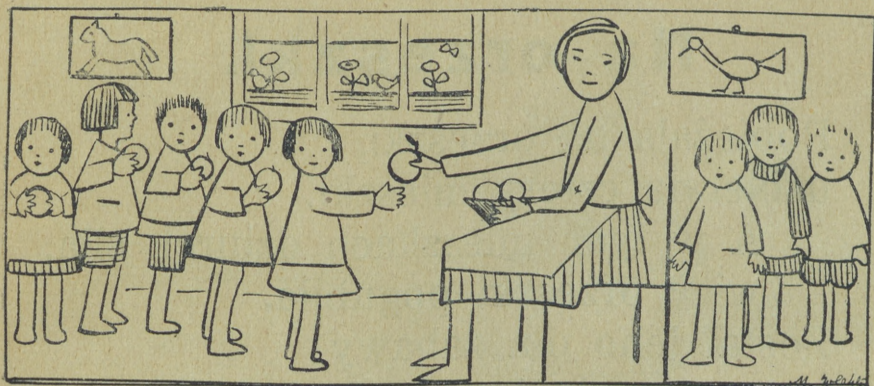
Więc ja teraz będę pisała pamiętnik tak, jak Walercia, co jest w drugim oddziale.

Jak ja szłam pierwszy raz do ochronki, to się bardzo bałam. Jak przyszłam, to tam było dużo dzieci i pani.

Dzieci na panią mówią Fela.

Pani powiedziała, żebyśmy pokazali ręce, czy są czyste, a moje były brudne. Dlatego były brudne, że jak sznurowałam buciki, to sobie zapaprałam, a potem nie umyłam. To mi było bardzo wstyd.

Teraz już zawsze, jak będę szła do ochronki, to umyję ręce.



TO MY I PANI, I JABŁKA.

Potem to Fela. dała każdemu dziecku jabłko i zaczęła opowiadać o jabłkach.

Ale dla Antosia zabrakło jabłka, to ja powiedziałam, że ja mogę swoje przekrajać i pół będzie dla Antosia.

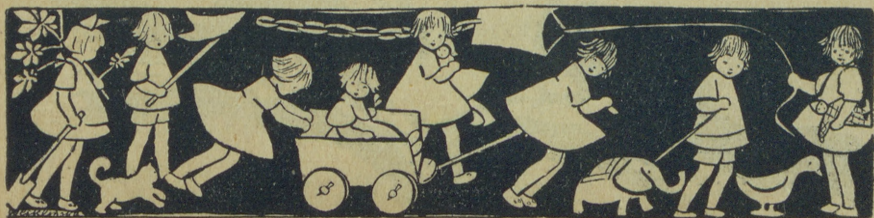
Fela mówi na to:

— Patrzcie, dzieci, jaka Stachurka dobra!

A ja się schowałam za Antosia.

Ja to narysowałam, jak pani rozdaje jabłka.

A dalej, to jutro napiszę.



Na orzeszki.

Pobiegała na orzeszki,
uzbierała cztery mieszki.

A w tych mieszkach dziurek siła,
więc orzeszki pogubiła.
Został jeno dla zabawy
ten orzeszek, ten dziurawy.

Wylatała cztery mieszki,
pobiegała na orzeszki.

A orzeszków ani, ani,
bo tu była ruda pani.
Bo tu była wczesnym dzionkiem
ruda pani, ta z ogonkiem.

Popłakała mało-wiele:
— Jeszcze zbiorę na wesele.

J. Porazińska.





Do domu.

Już jesień nadchodzi, już blisko.
Zostawmy, owieczki, pastwisko.

Dzień krótki, a nocka już długa.
Wypędza nas z pola szaruga.

Już słońko nie świeci nikomu.
Do domu, owieczki, do domu!

Już trawy po miedzach nie rosną.
Wrócimy, wrócimy tu z wiosną.

Bajka.

Już jest ciemno. Nie można się bawić w konie. Lampa jeszcze nie zapalona.

Jaś gramoli się do babusi na kolana.

— Babusiu, opowiedz bajkę...

— Palił kotek fajkę...

— Nie chcę takiej!

— Chodziła czapla po desce, po desce...

— Nie chcę takiej!

— Szedł pies przez owies...

— Nie chcę takiej!

— No, to jaką chcesz?

— Chcę tę straszną, co to koń latał po chmurach i rycerz jechał zabić smoka. Tę bajkę, co to wczoraj, bo nie wiem, jak się skończyła.

Babusia opowiada bajkę o koniu, co latał po chmurach i o rycerzu, co jechał zabić smoka.

Bajka jest ^zdługa. Jaś słucha, słucha, słucha, aż usypia. I tak jest codzień. I nigdy Jaś nie wie, jak się bajka skończyła.

K. M.



Mal. A. Augustynowicz.

JAŚ I BABUSIA.

Gość z lasu.

Wszystkie dzieci w całej klasie zazdrościły Tomkowi i Basi tego, że mieszkają pod samym lasem. Bo jakże tu nie zazdrościć komuś, kto przychodzi teraz codzień z kieszeniami pełnymi orzechów laskowych!

Mieli najdalej do szkoły — to prawda, ale teraz, gdy leszczyna w lesie ma orzechy, każdyby się z nimi zamienił na mieszkanie.

Jeszcze przed szkołą opadała ich cała zgraja kolegów:

— Baśka, dawaj orzecha!

— Tomek, mnie jeszcze jednego!

— Ja tylko dwa dostałem i oba puste!

W minutę już kieszenie były opróżnione i zawsze jeszcze dla kogoś orzechów zabrakło.

Leszczynowy gąszcz zaczynał się zaraz za ich kuźnią i ciągnął się głęboko w las, jako zielone, wesołe podszycie. Orzechy z początku wyglądały z zielonych fryzeczek, jak blade twarzyczki dzieci, teraz dostały złotawego rumieńca, opaliły im się buzie na słońcu.

Basia rwałaaby cały dzień te śliczne, jak zabawki czy kwiaty, nastrzępione dwojaczki i trojaczki. Co wieczór nieśli z Tomkiem do domu po pół kobiałki orzechów.

Ale nie tylko Tomek i Basia uwijają się po leszczynowym gąszczu. Oni rozchylają gałęzie, naginają je do dołu, przedzierają się przez gęstwinę, nachyleni do samej ziemi, a nad ich głowami, górą, razem z wiatrem śmigają jak złote strzały inni zbieracze. Nie mają oni wprawdzie ze sobą koszów, ani kobiałek, ale mają taki zapał do pracy, taki strach przed długą zimą, że pewno Tomka i Basię wyścigną, chociaż tylko po jednym orzechu do swojej spiżarni noszą.

Deszcz padał od rana. Pomimo tego dzieci poszły, jak zawsze, do lasu.

— Patrz, Tomek, jak na mnie ta wiewiórka parska, jak tupie pazurkami!

— Chce nas wystraszyć z lasu, obmoknięta jak szczur, ale orzecha w zębach trzyma!

Wiewiórka pomknęła jak błyskawica po zielonym, rozbujanym gościńcu.

— Jak też to ona tak potrafi? — myśli Basia.

Deszcz mżył bezustanku. Wcześniej, niż innych dni, wróciły dzieci do domu.

Basia wysypała orzechy na stół, zaczęła je dzielić na kupki, mówiąc z powagą:

— To dla Franki, to dla Zośki, to dla Stachy.

Tomek wyłuskał swe orzechy, część ich wsypał do kieszeni, a resztę zebrał do czapki. Chcąc orzechy wsypać do przetaka, pchnął drzwi od komory. W tej chwili coś mu śmignęło nad głową, straciło blaszankę z półki i skoczyło na ścianę. Tomek wrzasnął, że aż się szyby zatrzęsły. Matka i Baśka w jednej chwili były przy nim.

— Mamo, wiewiórka! — krzyknęła Basia.

Oszalałe ze strachu zwierzątko skakało po workach, rozbijało się o ściany i o zakratowane okienko.

— Wyjdźmy stąd, bo wszystko z półek pozrzuca! — krzyknęła matka.

Cofnęli się za drzwi.

— A żeby ją złapać, mamol — mówi Tomek.

— Co ci z tego przyjdzie? Niech sobie żyje na swobodzie.

Kiedy ostrożnie uchylili drzwi, wiewiórki już nie było; trafiła do swojego otworu pod siatką w oknie i czmychnęła.

— Zakradła się tutaj po to — rzekła matka, nachylając się nad przetakiem z orzechami.

— Mało ma orzechów w lesie, jeszcze nasze zabiera! — oburzył się Tomek.

— To jej żniwa, — powiedziała matka — musi teraz zebrać zapasów do swojej spiżarni na calutką zimę, tak, jak i my. Połóż za okienkiem parę garści orzechów i zabij z powrotem siatkę.

Przez malutkie, zakratowane okienko, po całym dniu deszczu, zakradł się niespodzianie czerwony promień słońca: odbił się w szklanych stojach, ozłocił wianki grzybów, wielkie, pękate wory mąki i pewno sobie pomyślał z radością, że ci ludzie nie umrą z głodu, choć on coraz słabiej będzie świecił...

— Mój Boże, jaka też to jest ta spiżarnia wiewiórki? Pewno podobna do naszej, tylko malutka. Żeby ją też zobaczyć — myśli Basia.

M. Kownacka.

Na naszym jarmarku wszystko za darmo.

Każdy wie, że na jarmarku, czy na targu nabyć można za pieniądze różne i przeróżne rzeczy. Nikt jednak nie słyszał o takim jarmarku, na którym nietylko wszystko darmo dają, ale nawet każdy kupiec cieszy się, jeżeli jego towar brać zechcą. A przecież taki jarmark corocznie odbywa się. Może chcielibyście wiedzieć w jakim kraju?

Tu, tu, u nas, bliźniutko.

No, czy nie zgadujecie, o czym mówię?

Nie. A więc powiem. Ten jarmark odbywa się w polu i w lesie. Kupcami, wystawiającymi swój towar, są drzewa, krzewy, zioła. Kupującymi są mieszkańcy pól i lasów.

Oto jarzębina wystawiła swoje purpurowe korale.

— Chodźcie do mnie! Moje jagódki są bardzo smaczne — szemrzą listki jarzębiny.

— I moje jak cukier słodkie — chwali się jałowiec, cały osypany drobnymi jagodami. — Te zielone, najmłodsze nic jeszcze nie warte, dwulatki niebieskiego koloru już są lepsze, ale najśodsze są czarne, niby modrym pyłkiem osypane. Mają one już trzy lata i są całkiem dojrzałe.

Jemiołuszki, kwiczoły, przybywajcie! Jagódki jałowcowe to przecież wasza ulubiona potrawa.

Orzechy na leszczynie, żołędzie na dębach, małeńkie orzeszki buków, nasionka ukryte w szyszkach czekają na ostre zęby wiewiórki, na twardy dziób dzięcioła.

Tu płonące barwą ognia podłużne owoce głogu. Tam białe niby śnieg, miękkie kulki jemioły.

Setki przeróżnych krzewów, tysiące chwastów wystawiają swoje owoce i owocki. Byleby tylko odwiedzający wziąć je raczyli, byleby otworzyli domek, w którym roślina schowała dziecko — nasionko.

Wiele, bardzo wiele nasionek zjedzą zgłodniaли goście, ale wiele również upadnie na ziemię, zagrzebie się w jaką szczelinę i na wiosnę żyć zacznie.

A o to tylko chodzi matce — roślinie. Tej jedynie pragnie zapłaty!

Jadwiga Chrzęszczewska.

Przygoda z rzepką.



1.

Zasiał rzepkę
Staś w ogrodzie.
Rośnie rzepka
o pogodzie.



2.

Rzepkę swoją
na jesieni
wyrwać Stasiak
się nie leni.



3.

— Oj, pomóżcie,
moi mili!
Już się cała
czwórka sili:



4.

Mańka, Ewcia,
Staś z Jerzykiem.
I rymś!... wszyscy
z wielkim krzykiem.

Hu — hu!

Zabawa w Smoka.

Na szkolnem podwórzu dzieci stają nawprost siebie dwoma rzędami, pozostawiając dość szerokie przejście. Jeden z uczestników zabawy jest Smokiem i właśnie po tej drodze, między rzędami, przechadza się. Smok póty chodzi, póki dzieci nie skończą śpiewać następującej piosenki:

Chodzi sobie drogą Smok.
Jaki straszny jego wzrok.
Uciekajmy, uciekajmy coprędzej od niego,
bo on złapie, bo on złapie nas co do jednego.

Gdy śpiew umilknie, wówczas Smok wykrzykuje: „Hu-hu!” Na to hasło rozbiegają się dzieci na wszystkie strony, a Smok je goni.

Złapane dziecko staje na oznaczonym przez Smoka miejscu, z którego oddalić się nie może, a Smok w dalszym ciągu goni dzieci, wykrzykując co chwila: „Hu - hu!”

Nie sądźcie jednak, że Smok jest niezwalczony. Może znajdzie się ktoś zręczny i śmiały, który niepostrzeżenie zerwie Smokowi czapkę z głowy, pozbawiając go w ten sposób władzy: Smok przestaje być groźnym, nie wolno mu już gonić, a śmiałek - zwycięzca staje się teraz Smokiem.

M. Chetmońska.

Przygody małego murzynka i czterech łakomych tygrysów.

4) *Napisała Zofja Rogoszówna.*

— Sprytny z ciebie chłopak, mój Sambo — powiedział tygrys, oglądając się z dumą na zielony parasol, związany na kokardę na końcu ogona. — Rzeczywiście, trzyma się doskonale i chroni mój tygrysi łeb przed żarem słońca. Bądź zdrow, zjem cię innym razem.

I tygrys poszedł w las, pomrukując pod wąsem:

— Tygrys chodzi jak
w koronie
z parasolem na ogonie.

Gdy się w stroju tym pojawi,
całą dżunglę w zachwyt
wprawi.

Skoro szkaradny tygrys znikł z oczu małego Samby, biedny chłopczyzna począł głośno płakać. Płakał z żalu za czerwonym kubraczkiem i niebieskimi majteczkami. Płakał za ciżemkami purpurowymi i za zielonym parasolem. Łzy, duże jak groch, padały na ziemię i na jego bosc, czarne nóżki.

Ale raptem umilkł i zaczął nasłuchiwać. Do uszu jego doleciał głuchy ryk. Sambo poznał ten ryk odrazu. To ryczały tygrysy. Biedny Sambo zawołał wtedy z rozpaczą:

— Znam te wrzaski! Znam
te ryki!

wszystkie pędzą w moją
stronę!

To tygrysy rozbójniki,
w moje suknie ustrojone,

Oj, żarłoczne mają miny...
Zjedzą mnie na urodziny!

Ucieka Sambo, ucieka, aż wypadł na dużą polanę, na której rosła wysoka palma. Dopadł Sambo drzewa i skrył się za jego pniem. Ale gdy ryki nie ustawały, nieśmiało wyjrzał z poza drzewa.

Na środku polany rozsiadły się cztery tygrysy i kłóciły się strasznie, który z nich jest najpiękniej ustrojony. Pierwszy mówił:

— Piękny kubrak mam na grzbiecie,

wzbudzam podziw w całym świecie!

A drugi wołał gniewnie:

— Ja wyglądam jeszcze
godniej,

bo niebieskie wdziałem
spodnie!

A trzeci warczał:

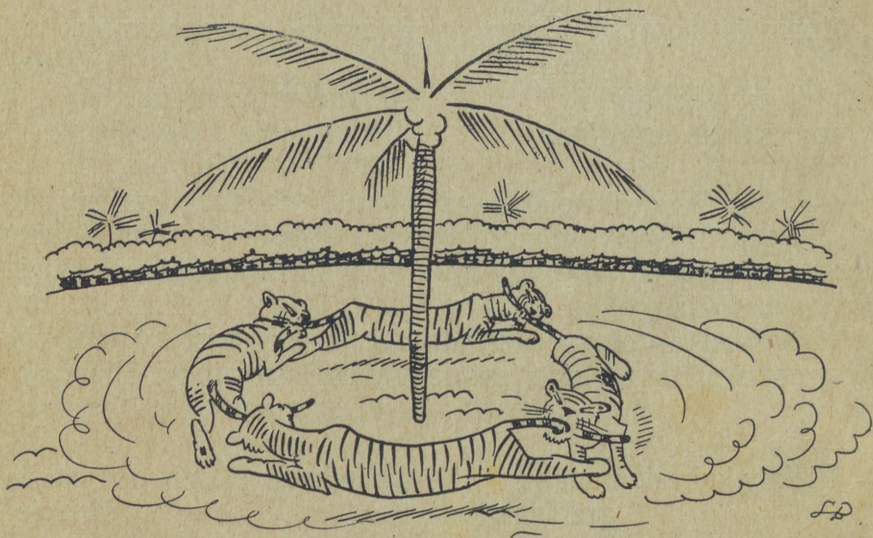
— Milczeć! zawrzeć pyski
harde,
czy z was który ma kokardę?
I czy chodzi, jak w koronie,

z parasolem na ogonie?
Niech więc każdy hołd mnie
złoży.
Niech przede mną się ukorzy!

A czwarty ryczał:

— Jam jest piękny, jam jest wielki, bo mam na łbie pantofelki.

Ale żaden z trzech tygrysów nie chciał mu hołdu złożyć, bo każdemu wydawało się, że jest najpiękniejszy. Kłóciły się i ryczały coraz głośniej, a potem zaczęły się bić. Ale, czując, że ubranie je krępuje, szybko porzuciły kubraczek i spodeńki, pantofelki i zielony parasol i pognały ku palmie, za którą krył się mały, czarny Sambo. Zaledwie Sambo zdążył na bok uskoczyć, już wszystkie otoczyły pień drzewa, jeden drugiego chwycił za ogon zębami i począł gryźć, kręcąc się w kółko i warcząc straszliwie.



Uhu! wrrrrr, wrrrrr, uczcij mnie, bo na śmierć zagryzę cię!

Sambo się troszkę uspokoił. Widocznie tygrysy nie zamierzały jego pożreć, tylko miały ze sobą jakieś porachunki. Zerknął raz i drugi na porzucone przez tygrysy odzienie, a widząc, że tygrysy gryzą się dalej, a na niego wcale nie zwracają uwagi, powolutku począł się ku swoim ubrankom przybliżać. Stał chwilę, a potem parasolem przyciągnął ku sobie najpierw kubraczek, potem spodeńki, a potem jeden

i drugi pantofelek i cofał się w tył, ciągnąc ubranie coraz dalej od palmy.

Tygrysy to widziały, ale nie przestały gryźć się ani na chwilę, tylko ryczały coraz straszliwiej: — Uhu! uhu! wrrr, wrrrr — i kręciły się coraz prędzej dokoła pnia palmowego, i gryzły jeden drugiego w tygrysie ogony, aż im z pod tygry-sich zębów krew tygrysia ściekała.

Sambo nie czekał dłużej. Szybko naciągnął czerwony kubraczek i niebieskie spodeńki, czarne nóżki wsunął w pur-purowe ciżemki, w rękę chwycił zielony parasol i pomaszero-wał do domu, mówiąc:

— Niechaj gryzą się te zbóje,
Sambo nic ich nie żałuje.
Wdział kubraczek, wdział
małteczki

i już biegnie do mateczki.
Gryźcie się, tygrysy moje,
nic, a nic się was nie boję!

I na znak, że się tygrysów naprawdę nie boi, zagrał im na nosie fujarkę i począł tak uciekać, że się aż za nim ku-rzyło.

Tygrysy dobrze widziały, co robił mały, czarny Sambo i złe były okropnie. Każdy byłby chętnie rozszarpał go na małe kawałeczki i zabrał dla siebie jego śliczne ubranie, ale żaden nie chciał puścić ogona drugiego tygrysa. Więc z tej wielkiej złości gryzły się coraz mocniej i kręciły się coraz prę-dziej dokoła pnia palmowego, tak, że nic dojrzeć nie było moż-na, tylko migające łapy i ogony, i znowu łapy, i znowu ogony.

A słońce tymczasem grzało coraz silniej, a w końcu grza-ło już tak mocno, że można było jajko ugotować na twardo. I stała się rzecz nadzwyczajna. Tygrysy były bardzo spa-sione i od tego kręcenia się w kółko zrobiło im się tak go-rąco, że tłuszcz się w nich zaczął topić. Z początku nic sobie z tego nie robiły i, choć tłuszcz ściekał z nich wielkimi kropla-mi, kręciły się dalej dokoła pnia palmowego. A potem za-częły maleć, maleć, bo słońce prażyło je i prażyło dopóty, pó-ki ich nie roztopiło zupełnie. W niedługą chwilę potem nic się z łakomych tygrysów nie zostało, tylko biała struga tygry-siego smalcu.

Nasze listy.

Czeka „Płomyczek” na listy od Was. O czym macie pisać? No, o tem wszystkim, co Was zajmuje, bo to również i dla „Płomyczka” jest ciekawe. Kto napisze liścik czy-sto, starannie — ten „Płomyczek” uraduje; kto napisze brudno i niedbale — ten go zmartwi.

Kto pierwszy odgadnie?

ZAGADKA.

CO TO?

Ostra, ukuta ze stali,
tysiące traw cięciem wali,
a gdy kamień spotka w drodze,
sama się poszczerbi srodze.

Trzy literki w rzędzie,
a drzew mnóstwo będzie.

ROZWIĄZANIA Z № 3.

Mała szaradka: Pło-my-czek.

Łamigłówni: 1. Zadanie. 2. Topola. 3. Powoli. 4. Przed-pokój. 5. Pozbieraj zapalki ze stołka.

Do niniejszego numeru „Płomyczka” załączamy blankiet na-dawczy P. K. O. do wszystkich prenumeratorów. Prośbę swą o wnie-sienie przedpłaty na październik skierowujemy tylko do tych prenume-ratorów, którzy jeszcze za październik nie zapłacili.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyczek”	miesięcznie 1 zł. —	— za cały rok szkolny	9 zł.
„Płomyczek” z „Płomykiem”	miesięcznie 2 zł. —	„ „ „ „	18 zł.
„Płomyk”	miesięcznie 1 zł. 50 gr. —	„ „ „ „	14 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyczka” z „Płomykiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O. № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.